Rok III.

Nr. 40. **Nr. 40.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 zlr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 4 pazdziernika 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Wieczory zimowe.

Czy znacie, łaskawi czytelnicy, komedję ś. p. Rodryga Benedixa p. t. „Kopciuszek ?“

Jeżeli tak, to przypomnicie sobie łatwo przedstawiony tam nieoceniony typ Urszuli, tegoczesnéj Madame utrzymującéj pensję panien. Wyszukanie poważna, wykrochmalona i wytynkowana to niewiasta, w zaciśniętych swych usteczkach nosi bezustannie ostatni wyraz praktykowanéj dziś kobiecéj pedagogji, brzmiący krótko a znacząco: szyk!

„Pamiętajcie panny — mówi ona — robić wszystko co do szyku należy, całe bowiem życie dobrze wychowanéj kobiéty winno być zawsze pełne szyku i elegancji.“

Pojęcie szyku trudne jest bardzo do określenia. Zdaje się jednak, iż niewolnicza zależność kobiéty od falbanek a mężczyzny od kołnierzyków właściwą treść szyku stanowi. Szyk wynaleziony został przez jedną z paryzkich modystek, następnie zaś przerobiony i udoskonalony w półświatkowéj republice dostał się na wielki świat i szybko zapanował nad formami życia. Stało się tedy, że i my naśladujący tak chętnie zachodnie obyczaje, przyjęliśmy w lot słodkie dla ciała jarzmo i nagięliśmy do niego sposób towarzyskiego obcowania ku większéj szkodzie duchowéj strony życia.

Porównawszy dzisiejsze nasze zabawy i wieczorne zebrania w salonach wyższego świata ze wspomnieniami pani Pauliny Wilkońskiéj o towarzyskiém życiu w Warszawie, łatwo przekonać się można, jak wielkie zaszły zmiany w stosunkowo krótkim przeciągu czasu. Odbyły się one niepostrzeżenie i gładko jak w ogóle wszystko co wypada na niekorzyść. Długo nikt o tém nie wspominał a i dziś nawet rzadko, w potocznéj tylko rozmowie odezwie się jakiś głos w sprawie reformy towarzyskiego życia.

Reforma — sam ten wyraz gotów jest przestraszyć wielu, ludzi upatrujących w najlżejszéj zmianie — przewrot, rewolucję i idących w ślad za nią dyktatorów o marmurowém obliczu. Zastrzegamy się tędy przeciw takiemu pojmowaniu reformy którą mamy na myśli i oświadczamy przekonanie, iż przyjdzie ona w imię dobrego przykładu danego choćby przez jeden tylko dom wpływowy i gościnny po staropolsku.

Rozpoczęliśmy — a przynajmniéj tak utrzymujemy — usilną pracę nad poprawą narodowego bytu. Krzątamy się koło rozwoju narodowego gospodarstwa, handlu i przemysłu; zakładamy banki, kółka włościańskie, ochronki i towarzystwa oświaty ludu; staramy się o wszystko niemal, krom o naszą własną umysłowość. Nauka i literatura piękna poszły w poniewierkę. Nakładcy i księgarze bankrutują a nie ma literalnie pisma, któreby bez ofiar istnieć mogło. Zdaje się, jakby nas apatja ostatnich lat dziesięciu wydziedziczyła z umysłowych potrzeb.

Gdybyśmy na polu materjalnéj produkcji najniezmierniejsze nawet robili postępy, nie troszcząc się, jak dotąd, o rozwijanie się w kierunku du-

chowym, to nic jeszcze nie dokonamy. Będziemy wprawdzie mieli tylu a tylu przemysłowców i rękodzielników więcéj, tyle a tyle bogatszych jednostek, mówiących do czasu po polsku, ale nie będziemy mieli ludzi myślących i czujących po polsku. Uznajemy konieczność i dobrodziejstwa ekonomicznego postępu, ale nie pragniemy wyłącznego jego panowania, bo to sprowadziłoby nas w ostateczności na stanowisko zajmowane dziś przez Ormjan i Żydów.

Niegdyś idealiści, paśliśmy się zacięcie mrzonkami, dziś neofici materjalizmu miotamy się fanatycznie na wszystko, co nosi piętno ideału, zapominając, iż rzetelny postęp zależy od łączności obu kierunków.

W kwestji téj odzywaliśmy się kilkakrotnie — niestety jak dotąd bezowocnie i odosobnieni. Pisma nasze codzienne z karygodną obojętnością po nad kwestją naukową i literacką przechodzą do porządku codziennych kłótni i rubasznych polemik.

Pisma te dla tego właśnie, że codzienne, wiele dobrego dokonaćby mogły — a jednak, pytamy, czy troszczą się one o dobro narodowéj literatury, czy starają się zainteresować publiczność dla jakiego dzieła lub pisma, czy przemawiają w sprawie umysłowego ruchu i duchowego postępu?

Niech publiczność odpowie!

Tak zwane „Kroniki naukowe, literackie i artystyczne“ to łachman zeszyty z rozmaitych pism zagranicznych, zwykle tak rzemieślniczo, że czytać niepodobna. Dla literatury krajowéj miejsca nie ma, chyba że wypadnie urządzić reklamę dla redakcyjnego przyjaciela. Tymczasem publiczność zostaje bez informacji i zachęty a zamilczeni na śmierć autorowie i wydawcy obojętnieją dla chlubnego powołania.

Niezmordowani powtarzaniem wołamy i dziś jeszcze: Literatura narodowa upada, ruch umysłowy w zastoju, trzeba temu zaradzić.

Zanim koledzy nasi, redaktorowie wielkich pism codziennych, udzieliwszy zbawiennych rad potentatom wszystkich części świata, raczą miłościwie zniżyć się do takiéj drobnostki jak sprawa domowa i postawić jaki wspaniały program, my podajemy od siebie skromny wniosek, dający się przeprowadzić po cichu podczas zimowych wieczorów, bez potrzeby zwoływania wieców i wnoszenia toastów.

Literatura, jak w ogóle cała umysłowość upada, ponieważ zajmowanie się nią wyszło z używania, ponieważ uroniwszy nitkę umysłowego ruchu w chwili pogromu, dotąd jéj nie odnaleźliśmy. Przez długi szereg lat aż do ostatniego powstania protegowanie literatury, żywe zajęcie się nią należało do dobrego tonu, do szyku towarzyskiego. Czytanie, rozmowa o przedmiotach traktowanych w książkach i pismach była nieodzowną potrzebą codziennego życia a największy nawet nieprzyjaciel druku czytać musiał chcąc nie chcąc, aby się nie stać celem żartów młodych nawet panienek, wyjątkowym nieukiem pośród salonowego towarzystwa. Taki był prąd ogólny a najpierwsze salony stolicy miały osobne wieczory na zebrania literackie.

Dziś stanowi odwrotną stronę niedalekiéj przeszłości. Szykiem jest nic nie umieć, nic nie wiedzieć, być obojętnym na wszystko, wszystkiém znudzonym, zblazowanym. Walc przeplatany rozmową o niczém, afektowany chłód i ziewanie, oto treść towarzyskiego obcowania. Jeszcze tylko trochę takiego szyku a nie będziemy mieli żon i matek, nie będziemy mieli młodzieży i obywateli — nie będziemy mieli kobiét ale lafiryndy, nie mężów ale zdechlaków, nie torysów lecz arogantów.

Do usunięcia złego, a zapobieżenia gorszemu jeszcze biegowi rzeczy, nie trzeba ani wielkich mozołów, ani kunsztownéj organizacji, ani nawet przygotowań. Dobra wola i dobry przykład dadzą pierwszy popęd a za tém, jak doświadczenie uczy, pójdzie całe społeczeństwo nasze.

Zaczęła się jesień, z wód i ze wsi zjeżdżają się do miasta majętniejsze rodziny, by w dobraném gronie spędzić przyjemnie długie zimowe wieczory. Tańczyć codziennie jest prostém niepodobieństwém choćby dla tego, że w adwent i pośród postu tańczyć nie wolno. Rzucamy tedy myśl, aby którenkolwiek ze staropolskich, otwartych domów wznowił owe t. z. literackie wieczorki, które p. Wilkońska we wspomnieniach swoich tak ujmująco przedstawiła.

Idzie przedewszystkiém o dobry przykład, o zrobienie początku a nie wątpimy ani na chwilę, że znajdą się naśladowcy i życie towarzyskie w uszlachetnionéj formie i głębszéj treści na nowo zakwitnie. Utworzone ogniska w różnych sferach bliżéj z sobą żyjących ludzi, skupią koło siebie kółko myślących, którzy innych do myślenia i pracy pobudzą.

Dla wielkich polityków, przyzwyczajonych kreślić szerokie plany, wniosek nasz wyda się zapewne drobnostką, trudna rada umysł nasz tak jest dziwnie zorganizowany, że nie pojmuje wielkich rzeczy bez drobnych początków a na domiar przykłady z najnowszych czasów nauczyły nas, że wielkie pomysły kończą się na niczém.

Obstajemy zatém przy naszym skromnym wniosku z głębokiém przekonaniem, że obudzone towarzyskie życie wyrodzi zwolna duchowe potrzeby i ruch umysłowy, ten zaś podeprze i umocni marniejącą literaturę.

Lubimy bardzo dobry ton a nawet szyk, pragniemy tylko, aby się odwrócił od rzeczy czczych i błahych a skierował na szlachetniejsze tory.

Trzéj najznakomitsi przedstawiciele angielskiéj powieści:

Lord Lytton Bulwer — Charles Dickens — Thackeray

przez

Leona Quesnel.

II.

Karol Dickens.

Szkoła wielkiego świata — życia publicznego i nagłych powodzeń — w której wychował się Bulwer, wydaje się ciasną i lichą w porównaniu z twardą nauką, w którą los rzucił od dzieciństwa ulubieńca swojego Dickens'a. Tkliwe i bolesno przemawiające są jego autobjograficzne prace — bo poznał, doświadczył, uczuł nie mocą wyobraźni, ale srogością własnego losu niemal to wszystko, co nam opisał. Wiadomo, że Copperfield to on sam. Ale mniéj jest znaném, że główne osoby w powieściach: „Pickwick", „Nickelby", „Olivier Twist", „Curiosity Shop", „Churrlewit" i w „Barnaby Rudge" z życia wziął własnego: są to przyjaciele jego, krewni i nieprzyjaciele — a często bardzo i on sam, występujący pod różnemi postaciami. Nawet i kruk ów w „Barnaby Rudge", istniał w domowém życiu Dickens'a.

Natura uposażyła go wspaniałomyślnie — lecz zarazem była i okrutną: od drugiego roku życia wszystko niezatarcie w jego wrażało się pamięć — i w dojrzałym wieku będąc, potrafił nakreślić sceny, które się działy przy jego kołysce. To pojęcie przedwczesne dowodzi wrodzonéj spotęgowanéj imaginacji, która jakoby zwierciadło odbijała wiek jego, kraj, a co większa, ludzkość wszelkich czasów w jéj tajnikach najgłębszych. Nie potrzeba dodać, że był wątłym i nerwowym, bo to są własności wszystkich natur wrażliwych. Mając lat cztery, chwytał po malarsku przedmioty i humorystycznie opowiadał, jak n. p.: „Chodziliśmy z siostrą moją Fanny do szkółki małéj, która ciemne miała wejście, obok kramu farbiarza. Mieszkańców kramu tego nie pamiętam wcale. Lecz nie zapomnę nigdy psa wielkiego, nadętego, który leżał przy wejściu na szkaradnéj słomiance, a był wielkim wrogiem naszym. Szczekanie tego nieszczęsnego stworzenia, sposób zjadliwy rzucania się na nasze biedne nogi, rozwarcie złowróżbne nozdrza, czarnego niemal a mokrego zawsze, jego kły białe i ogon zuchwale zadarty, podobny do pastorału, — to wszystko na wieczne czasy pozostanie w mojéj pamięci. Nie pomnę zkąd wiedzieliśmy, że on wabi się Fidèle, lecz ztąd wyciągnęliśmy wniosek, że jest Francuzem. Był on własnością kobiéciny, mającéj w podwórzu jakiś sklepik — a pamiętnéj nam z tego, że zażywała tabakę i nosiła kapelusz brunatny."

Jak u Lamartine'a: wszystko co dlań żyło — to przechowało życie na zawsze. „Zapominam często, mawiał, że jestem sławnym, żem kochany i szczęśliwy, a odczuwam wszelkie trwogi, które moje smutne przytłaczały dzieciństwo. — Lubiłem, gdy nieco posiadałem grosza, a przechadzka zwykła nie zastąpiła śniadania, chodzić do małéj kawiarni blisko Hungerford-Marck — wypić tam pół pinte'y*) kawy i zjeść kawałek chleba z masłem. Nade drzwiami wchodowemi był na szybie wymalowany wyraz: Caffée-Room i dotąd, ile razy na szyldzie napis „Caffée-Room" zobaczę, dreszcz mnie przechodzi. Stary rynek w Hungerford zniesionym został i schodów dawnych nie ma, co topografję miejsca zmieniło zupełnie. Nie miałem nigdy późniéj odwagi pójść do téj części miasta, gdzie zaczęła się moja służba — i nie widziałem jéj też więcéj. Idąc obok zakładu Huberta Warren do Strand'u, omijałem ją zdaleka, by uniknąć pewnego odoru, któryby mi moje dawne przypomniał rzemiosło. A będąc już ojcem mojéj córki najstarszéj, miewałem łzy w oczach, gdym szedł ulicą, przez którą udawałem się z dawnéj mojéj pracowni do mieszkania rodziców."

Pierwszém zatrudnieniem Dickens'a było, w dzieciństwie jeszcze, umywanie butelek w fabryce szuwaksu, gdzie go umieścili rodzice, by sobie na chléb powszedni zarabiał — i o tym to on właśnie wspomina odorze. Biedny żywił niestłumiony żal do swéj matki — i sam ze zgrozą za to potępiał się uczucie. W téj fabryce właśnie pozowali mu młodziutcy koledzy wspólnéj pracy, Bob Fagin i Poll Green — ani śniąc o tém, że się kiedyś staną nieśmiertelnymi. I tam to nauczył się patrzeć na cierpienie — cierpieć — i rzeczywiste poznawać życie: tam nagromadził ów potok łez, które późniéj z oczów popłynęły Anglji nad niedolą młodego proletarjusza. Ale, jakkolwiem bytem swoim należał do ludu, a następnie sympatją dlań i poczuciem sprawiedliwości — odznaczał go zawsze organizm delikatny i pewna odrębność manier, co go czyniła przedmiotem podziwienia a nawet i poszanowania w obec prostych ludzi, którzy go otaczali.

Nazywano go w fabryce: The young gentleman — ku wielkiemu niezadowolnieniu Bob'a Fagin, podnoszącego protest w obronie prawem zastrzeżonéj równości.

Wreszcie przyjaciele ojca — którzy znali go jeszcze gdy urzędował przy porcie w Portsmouth, — wykazali mu niestosowność, że syna swojego oddał do mycia butelek od szuwaksu. Biedny ten ojciec siedział właśnie za długi w Marshalsca, lecz potrafił wynaleźć fundusik jakiś i umieścił syna w jednym z naukowych zakładów. Dickens, w sędziwym już będąc wieku, gdy mówił o tém, płakał łzami wdzięczności i synowskiego przywiązania. A jeszcze nieszczęśliwy ten ojciec miał do wyżywienia sześcioro dzieci! — Przypominał sobie nadto, że maleńkim będąc, nosił z szczupłéj bibljoteczki ojca, na rozkaz jego, książkę po książce do antykwarza, by ją za lichą na chléb powszedni zbyć płacę. W więzieniu w Marshalsca pierwszą z ust ojca, co do ekonomji domowéj, odebrał naukę: „Zapamiętaj dobrze, moje dziecko, — mówił — że gdy posiądziesz sto liwrów szterlingów rocznego dochodu, a wydasz dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewiętnaście szylingów i sześć denarów, będziesz żył spokojnie a zatém i szczęśliwie; jeżeli zaś wydasz sto funtów i cztery pensy — staniesz się nędzarzem."

Gdy ojciec ułożył się następnie z wierzycielami, Dickens — wedle praw angielskich — musiał stawić się przed taksatorem rządowym, by ten przekonał się, czy liche odzienie które miał na sobie, zostało oszacowaném legalnie. — „Wszedłem po schodach — opowiadał — jak winowajca jaki i czekałem w przedpokoju. Taksator jadł właśnie obiad i zjawił się po dość długiéj dopiéro chwili, z serwetą w ręku i zapchanemi jedzeniem ustami. Spojrzał na mnie i wyrzekł z wyrazem dobrodusznym: „Dobrze. Możesz odejść!" — Ciężar spadł mi z piersi i byłem mu wdzięczny serdecznie, że mi nie zabrał starego, srebrnego zegarka, który miałem w kieszonce. To też głębokim pożegnałem go ukłonem."

Dickens miał wtedy dopiéro lat dziewięć, a już przez taką przechodził szkołę! Nic więc dziwnego, że przy samym wstępie w świat pozbył się od razu wszelkich przesądów, jakiemi świat otacza nieszczęśliwych i ubogich. A nietylko że sąd o rzeczach rozwinął się wcześnie w umyśle jego, lecz zbudziło się zara-

*) Pinte, miara mniejsza od naszéj kwarty.

zem i poczucie sztuki plastycznéj, popychające go do malowania przedmiotów, które mu pod oczy podpadły. Pióro jego było zarazem pędzlem i dłutem.

Licząc lat sześć improwizował Dickens komedje, naśladując znajome sobie osoby; deklamował, śpiewał i krasił mimiką opowiadania bajek od nianiek posłyszanych. Wesołość jego i żarty czarowały całe sąsiedztwo. Namiętne zamiłowanie teatru nie opuszczało go nigdy. Nieraz wykradał się z zakładu, by zwiedzić którą scenę przedmieściową, gdzie niekiedy nawet sam jaką odgrywał rolę. Przedwczesna dojrzałość jego odbijała się we wszystkiém — mając lat dwanaście zawiązał romansik z małą dziewczynką, z którą listy poetyczne zamieniał i zjadał konfitury. Talent jego wszechstronny równie wiernie odmalował wiek dziecięcy jak i starość zgrzybiałą — młodość i uczucie miłości. — Tworzył powieści i romanse, kryjąc się z niemi — powodowany pewném uczuciem zazdrości — i pokazał je dopiéro, gdy szkołę opuścił. — Zniewolony zarabiać na chléb powszedni jako stenograf, w epoce parlamentarnéj pomiędzy rokiem 1815 a 1848, — nabrał nieposledniéj wprawy dziennikarskiéj. A w dwudziestym pierwszym roku życia odważył się ogłosić pod pseudonimem pierwszą swoją pracę.

Potrzeba go było słyszeć zwierzającego się, z jakiém to uroczystém drzeniem wstępował na oną ścieżkę, która wiedzie do sławy.

„Dnia jednego — opowiadał — wymknąłem się o szaréj godzinie lękliwie, z rękopisem w ciemnéj skrzyneczce pod pachą, z ciemnego biura, będącego w ciemném podwórku przy Fleet-street. Powieść moją nazwałem „Pan Minus i jego kuzynowie.“ — A jakież było wzruszenie moje, gdy w kilka dni potém ujrzałem się z inném nazwiskiem — w aureoli z czcionek! — Szedłem prostą drogą do Westminsteru — a duma o tyle wzrok mi olśniła, że mnie światło dzienne ulicy raziło — i aż zataczałem się prawie. — Biegnę wprost do Westminsteru! — Szał mnie owładnął — było to jakby symboliczne uniesienie — dążenie bezprzytomne do nieśmiertelności!“

Po tém pierwszém powodzeniu nastąpiło niebawem drugie. „Monthly Magazin“ był tyle szczęśliwym, że wykrył tę perłę — tyle rozumnym, że jéj wartość ocenił i ogłosił dziewięć s z k i c ó w, z których ostatni ukazał się w r. 1835 z podpisem B o z — późniéj tak sławnym. „Monthly Magazin“ upadł jednak niebawem a nasz bohater szukać musiał chleba gdzieindziéj. „Morning Chronicle“, przy którym Dickens był r e p o r t e r e m, otworzył wydanie wieczorne a zacny dyrektor Mr. John Black ogłosił w łamach tegoż nową serję s z k i c ó w. Ze względu na współpracownictwo literackie Dickensa podwyższono mu, jako r e p o r t e r o w i, płacę o dwie gwinee tygodniowo — i dostatek zawitał wreszcie do ciasnéj izdebki młodego autora. — „Kochany, poczciwy Black! — zwykł powtarzać Dickens — on pierwszy uznanie miał dla mnie. Kochany, poczciwy Black! którego praca sumienna drugim jedynie przynosiła pożytek. On to miodem czarę moją zaprawił i życzliwym uśmiechem podwoje sławy otworzył!“

Sława ta, po publikacji „Posthumons papers of the Pickwick Club“, przybrało niepomierne rozmiary. Ukazanie się tego dzieła stanowiło epokę w historji literatury angielskiéj. Było to poniekąd zmartwychpowstanie prawdziwego genjuszu Anglji — wcielonego niegdyś w tajemniczy realizm Szekspira i bolesną ironję Sterne'a. O czém M. Buchner w artykule swoim w „Revue politique“ wyraził się dowcipnie: „Był to miljon na ulicy znaleziony, obok którego przechodzili wszyscy, a tylko jeden człowiek zobaczył i podniósł.“ — Mr. John Forster, biograf Dickensa, opowiada szczegółowo wszystkie okoliczności tego wydarzenia literackiego. — Wydawca Chapman powziął zamiar ilustrowania niepowodzeń S p o r t 'u w sposób komiczny; rysunek miał wykonać znany artysta Mr. Seymour. Serję tych obrazków chciano nazwać „The club of Nemrod“ — i przedstawić członków klubu w całéj nędzocie, jako myśliwych i rybaków. Seymour uznał, że do jego pracy potrzebnym jest i tekst objaśniający, a Chapman udał się po to do Dickens'a. Wydawano publikację tę w zeszytach, jak uczyniono ze skiczami — a tekst dołączony tak wyłącznie zajął uwagę publiczności, że i przepomniano o wybornym rysunku Seymour'a. Wkrótce potém umarł ten ostatni i całe wydawnictwo przeszło w ręce Dickens'a — który je rozwinął z taką siłą, bogactwem i oryginalnością, czego poprzednie jego prace słabą jedynie były przepowiednią.

Zeszyt 18 „Pickwick papers“ wyszedł w 40,000 egzemplarzy — a późniéj do nieprzewidzianéj doszedł liczby. Wydawca zrobił majątek, Dickens jednakże pozostał ubogim, bo nie przypuszczając tak olbrzymiego powodzenia, umową zawartą szczupłe tylko zastrzegł sobie wynagrodzenie. Raz już, przy publikacji szkiców, był wyzyskanym podobnie, sprzedawszy je z całą nieświadomością rzeczy i ich wartości młodemu nakładcy Macrone za 15 funtów. Po wyczerpnięciu pierwszego wydania, Macrone zabierał się do drugiego, które wyjść miało w podobnym jak „Pickwick“ formacie. Dickens, wiedząc jak ogromne były jego zyski, zdziwił się i oburzył na to — bo wreszcie i wyleczył się ze zwykłéj sobie niepraktyczności. Potrzeba było traktować z chciwym nakładcą, ale biedny autor nie miał pieniędzy po temu — i musiał oddać jakoby w zastaw pracę swoją i sławę: Mr. Chapman, wydawca „Pickwicka“, zapłacił Macrone'mu 5,000 franków, by zrzekł się swego zamiaru — a Dickens zmienił tylko pana. Podobnież stało się z powieścią „Oliwer Twist“, co wielce gorzko uczuł. Biedny, niegodnym był zwać się pod tym względem Anglikiem — bo nie umiał korzystnych interesów zawierać, ni też obojętnym pozostać, gdy porobił niekorzystne. — „Niepodobna mi teraz dokończyć „Barnaby Rudge“ — napisał r. 1838 do przyjaciela, Mr. Forster, upoważnionego do zawarcia umowy z nowym wydawcą M. Benthley — nie mam siły i odwagi po temu. Ogromne zyski jakie „Oliwer“ codziennie przynosi wydawcy; licha suma, którą mi wypłacił — niewyrównająca nawet dziennemu zyskowi, bo romansu dnia każdego po piętnaście tysięcy egzemplarzy odchodzi; myśl, że jestem niewolnikiem drugiéj jeszcze podobnéj umowy; że książki moje zbogacają wszystkich, którzy z niemi do czynienia mają, prócz mnie jednego; i że przy wziętości, jaką pozyskały, ja z ciężką walczę pracą, młode wyczerpuję siły i energję, by obce napełnić kieszenie — gdy drogim sercu mojemu istotom zaledwo mogę liche utrzymanie zapewnić! — To wszystko odbiera mi odwagę i niszczy natchnienie. Zatém nie mogę — nie mogę pod tą żelazną dłonią, która mnie przytłacza, oddać się mękom nowéj pracy, dopóki nie wytchnę przez czas jakiś, dopóki dni kilka w lecie na wsi spędzonych nie przywrócą umysłowi mojemu równowagi koniecznéj. Od sześciu tygodni „Barnaby Rudge“ spoczywa na warsztacie i gdyby nie Ty, pozostałby tam wiecznie. Bo oświadczam uroczyście w obec Boga i ludzi, że sądzę się zwolnionym od zobowiązań wszelkich, dopełniwszy wszystkiego w obec tych, którzy mnie do nich zniewolili. Sieć, w jaką mnie uwikłano, gniewa i oburza do tyla, że potarganie jéj w jakibądź sposób nieodwołalną stało mi się potrzebą. Nie zrobiłem jednakże ustępstwa jeszcze — i żądam zwłoki tylko — zwłoki żądam, czy rozumiesz mnie?“

Późniéj dopiéro, wydając „Old curiosity Shop“ i „Nickolas Nickleby“, doświadczeniem nauczony i za poradą przyjaciół, korzystniejsze dla siebie porobił układy. Odtąd pobierał od wydawców swoich rok rocznie przynajmniéj po 50,000 franków — i wreszcie, po nędzach dzieciństwa, walkach o chléb powszedni w mło-

dzieńczym wieku i przejściach drażliwych, jakie towarzyszyły pierwszym jego powodzeniom — przeszedł w pełnię życia, rozwinął genjusz swój wszechwładnie i przestawał bez troski z istotami ukochanemi — których otoczenie stokrotnie jego siłę żywotną zwiększało.

Ponieważ zawsze z natury, wedle własnego malował serca i jedynie rzeczywistą życia podejmował stronę, sam swemi kreacjami łudził się jak najzupełniéj. Mówił o bohaterach swoich w gronie przyjaciół, jakoby o osobistościach żyjących istotnie. Jak n. p. „Zechcesz pewnie mieć wiadomość o Sally — myślę, że jesteś zadowolnionym z postępowania Dick'a w obec miss Walkes.“ — Raz nawet napisał do przyjaciela: „Jadę na wieś, bo muszę nająć mieszkanie dla Sampson'a, u którego Dick będzie aplikantem.“ — Albo: „Miss Brass zaczyna kochać. — Co zaś do „Old curiosity Shop“, to mała i tkliwa Nelly będzie musiała umrzeć; — ociągał się jednak z tą smutną ostatecznością, o ile mógł: to mu interes jaki przeszkodził — to święta Bożego Narodzenia — lub też inną jaką zwłoki wynalazł przyczynę — aż wreszcie przyparło go jego zobowiązanie literackie. — „Jestem najnieszczęśliwszym z ludzi — napisał wtedy — ona obejmuje mnie swoim cieniem ponurym, że zaledwo jéj spojrzenie wytrzymać zdołam. Gdy umrze, na długo nie potrafię przyjść do siebie — i będzie mi jéj brakowało wszędzie. Jest to dla mnie myśl tak bolesna, że Ci wyrazić tego nie umiem — i wszystkie moje dawniejsze otwierają się rany. — Nie przyjdę jednak na obiad do ciebie, ażeby z tego nie otrząść się stanu i pracy przynależnie dokończyć.“ — Gdy zaś arcy-tworu dokonał, powtarzał: „Jestem smutny, żem towarzystwo tych ludzi utracił i pewnie już nie potrafię przywiązać się do innych.“

Skoro go demon zapału nawiedził, Dickens zostawał jakby jego niewolnikiem: płakał, śmiał się — pracował z tak zaciętą namiętnością, że niemal całkiém wyczerpywał swe siły żywotne. I wtedy to oddawał się różnym ćwiczeniom ciała — bawiąc się z przyjaciołmi jak dziecię. Pierwszym dlań zbytkiem był ogród, w którym gry różne urządził: palety, kręgle i t. p. — a we wszystkich był mistrzem. Toż samo i przy wyścigach w Petersham, gdzie wysilał się więcéj, aniżeli konie wyścigowe. We wszystkiém rządziła nim gorliwość cała i owa estetyczna namiętność, która do doskonałości wiedzie artystę. Sam wyrzekł o sobie, wyjawiając tajemnicę swojego artyzmu: „Wszystko, czémkolwiek się zająłem, starałem się jak najlepiéj wykonać i całém temu poświęcałem się sercem. Wszystkiemu oddawałem się duszą i ciałem i nic połowicznie nie czyniłem. Nigdy nic nie uważałem, za zbyt małe — i tém złotém prawidłem rządziłem się zawsze.“ — Tak mówił Copperfield — ale to Dickens siebie w tych odmalował wyrazach.

Wpływ Dickensa na kraj swój i wiek był wszechpotężnym i byłoby rzeczą zbyteczną podawać tutaj analizę dzieł znakomitych tego króla romansistów. Czytali je wszyscy i ocenili uczuciem — otóż i najwyższa pochwała. Dickens utwory swoje wylewał z duszy — to też zrozumiano je sercem.

Może najmniéj był podziwianym jego „Barnaby Rudge“, bo dzieje się w epoce dawniejszéj, gdy społeczność angielska bezdusznie nosiła pęta drakońskich praw, gdy drobne występki jak n. p. kradzież wstążki lub kawałka chleba bywała śmiercią karana.

W powieści „Nickolas Nickleby“ przedstawia nam autor rozdzierającą historję proletarjusza, wziętą z innego punktu widzenia — i tutaj znowu struna wibrująca w sercu Dickensa przemawiała do uczucia społeczności dzisiejszéj. — „Pickwick“, najznakomitsze dzieło Dickensa, ma głębsze jeszcze znaczenie i rozleglejsze humorystyczne. Wszystko, cokolwiek zająć potrafi, skupiło się tutaj w najhumorystyczniejszym obrazie.

Podobno mając przed sobą „Pickwick papers“ skreślił Mr. Forster fizjonomję i wielkie stanowisko literackie swojego przyjaciela. A wspominając o tém ocenieniu pełném znaczenia, przyznać należy, że autor tegoż był myślicielem, publicystą znakomitym, liberalistą i uczonym. Nikt nigdy jaśniéj i z większém życiem przedmiotu tego nie opracuje. — Opisując pierwszą podróż Dickens'a do Ameryki i odbierane tamże owacje, Mr. Forster podaje przyczyny, które dlań w nowym świecie wyższy jeszcze, aniżeli w Anglji, wywołały entuzjazm — i wyjaśnia zarazem powody téj popularności, jaką sobie wszędzie zjednać potrafił.

„Popęd ten — twierdzi Mr. Forster — powinien był po za morzem koniecznie objawiać się goręcéj, bo strona serdeczna i szlachetna genjuszu jego była tamże ogólniéj i z głębszém pojęta uczuciem. Szczera wesołość, którą ozdobił najzwyczajniejsze formy życia, nową nadając im krasę; względna żartobliwość zwiększająca rozrywki niewinne, — musiały w społeczności tak zaszczytnie wyjątkowéj, wywołać dla Dickens'a uwielbienie ogólne i niemal osobistą wdzięczność. Amerykanie odczuli w młodym autorze protestację wcieloną tego, co właśnie w instytucjach angielskich ganili. Istniało pomiędzy nimi a matką-ojczyzną pewne współzawodnictwo entuzjazmu w zasadach i ideach: „Wy uwielbiacie tytuły, — mawiali — bohaterów wojskowych, miljonerów i potentatów, a my, mieszkańcy nowego świata, oddajemy młodzieńcowi z genjuszem i sercem cześć taką, jaką okazujecie królom i zwycięzcom — bo są rzeczy, które wyżéj cenimy od majątku i szabli.“

„Urządzono dla Dickens'a — donosili ze Stanów Zjednoczonych Mr. Fichner i doktor Channing — pochód tryumfalny, jakiego od czasu Lafayette'a nie widziano. Bo Daniel Webster przemówił do Anglików: że Dickens więcéj zrobił dla polepszenia doli ubogich, aniżeli wszyscy mężowie stanu, zasiadający w parlamencie. I to zaleca go szczególniéj narodowi, którego prawa i instytucje właśnie ubogich na pierwszym stawią względzie. Dickens do prac swoich czerpał przedmioty z ich cierpień i namiętności, bo cnoty napotykane w masach, najtkliwszych dostarczały mu obrazów. Dzieła jego mają głównie na celu obudzenie politowania; a obojętność i wzgardę, które żywiono dotąd dla téj większości przygnębionéj, pragną zamienić w uczucie oburzenia na niesprawiedliwość i nędzę.“

Podróż do Ameryki nastręczyła Dickens'owi jeden z najzabawniejszych epizodów do powieści „Martin Churrlewitt“

Przybycie swoje opowiada w liście do przyjaciela w ten sposób: „Zamięszanie panowało tak wielkie, że dopiéro po godzinie całéj na ląd dostać się mogłem. Stałem właśnie na pomoście z kapitanem, gdy kilkunastu ludzi, z niebezpieczeństwem życia, rzuciło się na pokład. Każdy miał pod pachą wielki zwój dzienników, a na szyi cache nez brudny niezmiernie. — „A! — pomyślałem — to jakby na London-Bridge, — sądząc, że widzę kupczących dziennikami — gdy tymczasem byli to wydawcy we własnych osobach. Wpadli na mnie wszyscy od razu, ściskając mi ręce, jakby szaleni. To też i ja ściskałem ich nawzajem frenetycznie — szkoda, żeście tego nie widzieli. A wstrętni, obmierzli byli mi ci ludzie brudni, zbłoceni, o wielkich zębach i wywróconych wargach — wołający na każdego przechodnia: „Czy byłeś przedstawiony przyjacielowi mojemu Dickens'owi? Czy chcesz, bym cię prezentował?“ — Jeden z nich pobiegł naprzód o dwie mile, by pokoje dla nas i obiad zamówić. Jakiś jegomość, który do Angli był do mnie napisał, ażebym go portretował, przysłał swój powóz, który czekał na mnie, zanim jeszcze na brzeg wysiadłem. Drzwi moje w ciągłém oblężeniu zostają, a ulica zapchana ludźmi. Okrzyk: „Hurrah!“ towarzyszy mi wszędzie. Odbieram volumina poezji, sążniste komplementa prozą, listy i zaproszenia — a cóż dopiéro powiedzieć o deputacjach, które jedne gonią

za drugiemi? — Nigdym tylu warjatów nie widział! — Gdy wieczorem idę na zebranie jakie, ścisk otacza mnie tak wielki, że zaledwo odetchnąć potrafię. Gdy mnie gdzie na obiad zaproszą, muszę gadać o Bóg wié czém, i ani wiem z kim. Gdy wejdę do kościoła, by wypocząć chwilę, ławkę moją otoczy tłum wiernych — lecz niepobożnych wcale. A co gorsza! Kaznodzieja, stojący na kazalnicy, zwraca się ku mnie — mówi do mnie — mówi o mnie — i patrzy się ciągle na mnie! — Wsiadam na koléj żelazną — konduktor nie chce mnie samego w wagonie zostawić. Gdy wysiadam na stacji, by szklankę wody wypić — ciekawe spojrzenia, skoro tylko usta otworzę, sięgają aż w głąb mego gardła. — Nie chcę przesądzać charakteru Amerykanów, alebym się obawiał, gdyby który z radykalistów naszych przybył do Anglji — mąż, który nim został przez uczucie, a nie wyrozumowanie, refleksję i prawość umysłu — lękałbym się, ażeby nie powrócił t o r y s'em.

„Nie chcę przesądzać charakteru Amerykanów!" — Dickens i w czasie drugiéj do Ameryki podróży — dziesięć lat późniéj — od téj nie odstąpił reguły. Malował co widział i na tém koniec. Gdy jednakże serce jego przemówiło, to i pochwalić umiał gorąco. — Ukazanie się powieści „Martin Churrlewitt" wielce rozgniewało Amerykanów, bo zapomnieli, że kreśląc rażące zdrożności, traktował ich jako współziemian, jak braci, którym otwartością usłuży się najlepiéj. Dickens zbyt wielką miał duszę, by nie ocenić prawdziwéj wielkości narodu — i otóż, co o nich powiedział: „Amerykanie są serdeczni, uczynni, dobrzy, gościnni, pełni szczerości, a często dystyngowani; tak mało przesądni, że i niechcielibyście uwierzyć — gorliwi i entuzjaści. W obec kobiét okazują rycerskość; są grzeczni, uprzedzający, bezinteresowni. A gdy powzięli skłonność dla kogo — jak n. p. dla mnie — oddadzą się całém sercem i wspaniałomyślnie. Tam rząd jest ojcem ludu i czuwa troskliwie nad biednym, nad dzieckiem, nad kobiétą, nad chorym i uwięzionym. Lud prostaczy usłuży ci na ulicy, a datku za to nie przyjmie żadnego. Pragnienie zobowiązania sobie drugich jest u nich powszechném. I nigdy nie wysiadłem z wagonu lub statku bym nie poznał kogoś, którego żal mi było pożegnać. Często owi przyjaciele dnia jednego przybyli z daleka, by mnie odwiedzić — a jednakże tego kraju nie kocham! — Nie chciałbym tam żyć — a nie wiem dla czego? — Muszę wszelako mieć słuszność, bo wszystko co tam poznałem i wszystko co widziałem, powinnoby mnie skłonić do miłości." — Znać z tego ustępu, ile wdzięczności czuł dla Amerykanów i że oni niesłusznie oburzali się na jego otwartość.

Za powrotem z téj tryumfalnéj po Ameryce podróży, Dickens rok trzydziesty skończył — i stanął właśnie na najwyższym szczeblu sławy i u szczytu pomyślności. To też cała postać jego wyrażała miłość i szczęście. Nie sprawdziły się zatém z trójnoga głoszone przepowiednie Q u a r t e r l y R e v i e w, który wyrzekł 31 października 1837 r.: „Łatwo dostrzedz, że wena humorysty wyczerpuje się. Mr. Dickens pisze za szybko i za wiele. Jeżeli tak potrwa, nie potrzeba być prorokiem, ażeby przewidzieć jak skończy: wyrosł jak grzyb, upadnie jak źdźbło trawy." Tymczasem źdźbło trawy wyrosło w dąb. „Dickens, jak gdyby był ze stali wykuty — wyrzekła miss Carlyle — a z jego ust rozchylonych, jaśniejących brylantowym uśmiechem, zdaje się, że dla wszystkich którzy go otaczają, radość i szczęście obfitym płyną strumieniem." — Umiał czuć przyjaźń całym duszy swojéj zapałem — i umiał miłość odpłacać miłością, bo dla niéj był stworzonym.

Nie ma jednak życia bez cierni a wszelka szczęśliwość ma również odwrotną swoją stronę. Tak też było i w życiu Dickensa. Małżeństwo jego przedwczesne nie przyniosło mu szczęścia a po latach dwunastu pożycia niezgodnych z sobą usposobień, nastąpiło rozłączenie. Kto rozumie znaczenie domowego spokoju i szczęścia w życiu takiego jak Dickens człowieka, ten pojmie łatwo ogrom jego niedoli.

Karol Dickens umarł licząc lat 58 — nie mogąc już nic więcéj do swojéj literackiéj dodać sławy. — W dojrzalszym wieku wiele miewał odczytów i kilka redagował przeglądów. Czynność jego zwiększyła się jeszcze, bo potrzebował rozrywki; odbywał także i częste podróże, które stają się koniecznemi niekiedy dla istot cierpieniem dotkniętych. Choroba jego, spowodowana wycieńczeniem nerwowém, nie trwała długo. Roku 1870 udał się na wieczny spoczynek tą samą drogą do Westminsteru — po któréj przed laty trzydziestu dążył upojony pierwszym swoim literackim tryumfem. Uniósł do grobu pociechę wyższą po nad wszelkie uwielbienia ludzi — bo przekonanie, że wiele dobrego zdziałał.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Nazajutrz, około dwunastéj wyjechał Bersenjew do Moskwy. Chciał z poczty odebrać pieniądze, zakupić kilka książek i przy téj sposobności odwiedzić Insarowa, z którym miał nieco do pomówienia. Podczas ostatniéj rozmowy z Szubinem przyszła Bersenjewowi myśl zaproszenia Insarowa do siebie na wieś. Niełatwo mu przecież przyszło go odszukać; Insarow wyprowadził się z dawnego mieszkania, do nowego zaś dostęp był trudny; znajdowało się ono w tylném podwórzu szkaradnéj kamienicy w petersburgskim stylu na ulicy Kucharskiéj. Nadaremnie Bersenjew chodził od jednych brudnych schodów do drugich, daremnie wołał stróża lub „kogokolwiekbądź." Już petersburscy stróże unikają o ile możności widoku przybywających, cóż dopiéro w Moskwie; nikt nie odpowiedział na wołania Bersenjewa, jeden tylko ciekawy jakiś krawiec z pasmem szarych nici na szyi wysunął z okienka w milczeniu a ciekawie bezbarwną swoją nieogoloną twarz, z okiem podbitém. Wreszcie zlitowała się nad Bersenjewem jakaś kobiéta i wskazała mu mieszkanie Insarowa. Bersenjew zastał go w domu. Odnajmował pokój od owego krawca, który to tak obojętnie z okna przyglądał się ambarasowi Bersenjewa... pokój ten był wielki, niemal próżny, o ścianach ciemno-zielonych, trzech kwadratowych okienkach, z małém łóżkiem w jednym a czarną skórzaną sofą w drugim rogu; u sufitu wisiała pusta klatka, którą przed laty zamieszkiwał słowik. Insarow wyszedł naprzeciw swego gościa do progu, ale bez owych wykrzykników: „Ah, to wy!" albo „Mój Boże, jakiemuż zdarzeniu?", nie powiedział mu nawet „Dzień dobry", tylko

uścisnął mu po prostu rękę i zaprowadził go do krzesła jedynego, jakie było w pokoju.

— Usiądźcie, rzekł, i sam zajął miejsce na brzegu stołu.

— Jeszcze u mnie wszystko w nieładzie, jak widzicie, mówił daléj, wskazując ręką stosy papierów i książek leżące na ziemi; jeszcze się należycie nie urządziłem. Brakło mi dotąd czasu.

Insarow mówił po rosyjsku zupełnie dobrze, wymawiał każde słowo czysto i pewno; przecież w dźwięku krtani, w głosie jego, brzmiącym zresztą przyjemnie, było coś cudzoziemskiego. Cudzoziemskie pochodzenie Insarowa (był to Bułgar) wpadało za pierwszém spojrzeniem każdemu w oko; miał lat dwadzieścia pięć, był szczupły, chudy niemal ale żylasty, o piersi wklęsłéj i kościstych palcach; rysy jego twarzy były ostre, nos miał wygięty, włosy czarne, w granat wpadające, bez połysku, czoło niskie, małe; nieruchomie poglądające, głęboko osadzone oczy a po nad niemi brwi grube; gdy się uśmiechał, z po za ust pięknych, zbyt może ostro zarysowanych, na chwilę ukazywały cudnéj białości zęby; Miał na sobie zużyty ale czysty, aż pod szyję zapięty surdut.

— Czemu opuściliście dawne wasze mieszkanie? spytał go Bersenjew.

— To jest tańsze i leży też bliżéj uniwersytetu.

— Ależ teraz są ferje... Jakże możecie wśród lata mieszkać w mieście! Trzeba sobie było wynająć mieszkanie na wsi, kiedyście się z dawnego i tak już przenieść mieli.

Insarow ani słowa nie odpowiedział na tę uwagę i podał Bersenjewowi fajkę, mówiąc: Darujcie, nie mam ani papierosów, ani cygar.

Bersenjew zapalił fajkę.

— Ja tak zrobiłem, ciągnął daléj, wynająłem sobie domek w okolicy Kuncowa tanio i wygodnie. Jest w nim nawet jeden pokój zbyteczny.

I na ten raz Insarow nic nie odpowiedział.

Bersenjew pociągnął z fajki.

— Przyszło mi na myśl, rozpoczął na nowo, otaczając się gęstym obłokiem dymu, gdyby się tak kto znalazł na przykład... który miałby ochotę, Was przedewszystkiém miałem na myśli... lub któryby się zgodził tam u mnie zamieszkać... jakby to było dobrze! Cóż o tém myślicie Dymitrze Nikanorowiczu?

Insarow spojrzał na niego.

— Proponujecie mi abym u was na wsi zamieszkał?

— Tak, mam tam jeden pokój nadto.

— Dziękuję bardzo, Andrzeju Piotrowiczu; o ile jednak zdaje mi się, moje finanse nie pozwolą mi z tego korzystać.

— Co to znaczy... nie pozwolą?

— Nie pozwolą mi one spędzić lata na wsi. Dwóch mieszkań mieć nie mogę.

— Ja sądziłem... rozpoczął Bersenjew i zająknął się. To wam przecież nie zwiększy wydatków, ciągnął daléj. To mieszkanie... chciałem mówić... moglibyście zatrzymać; za to tam wszystko jest niezmiernie tanie, moglibyśmy na przykład tak się urządzić, aby prowadzić wspólną kuchnię.

— Insarow milczał, Bersenjew się zmięszał.

— To odwiedźcież mnie przynajmniéj przy sposobności, rozpoczął na nowo po chwili milczenia. Niedaleko odemnie mieszka rodzina, z którą chciałbym was zapoznać. Co za śliczna dziewczyna córka tego domu, gdybyście wiedzieli, Insarowie! Mieszka tam także dobry mój przyjaciel, człowiek wielkiego talentu; przekonany jestem, że się wzajem sobie podobacie. (Rosjanin jest zazwyczaj gościnny i lubi popisywać się ze swemi znajomościami). Doprawdy, przyjedźcie. Albo lepiéj jeszcze przenieście się do nas. Moglibyśmy razem pracować, czytać... Jak wiecie, w moje powołanie wchodzi historja, filozofja. Wszystko to i was również zajmuje; mam moc książek.

Insarow powstał i przeszedł się po pokoju.

— Mogęż was spytać, ozwał się wreszcie, wiele płacicie za ten wiejski domek?

— Sto rubli srebrem.

— A wiele jest w nim pokoi?

— Pięć.

— Więc, rzecz tę obliczywszy, za jeden pokój płacicie dwadzieścia rubli?

— Tak... Ale pomyślcie, ten pokój jest mi zbytecznym, stoi pustkami.

— Być może; zważcie więc, rozstrzygnął Insarow z stanowczém ale życzliwém skinieniem głowy, że w takim tylko razie mógłbym przystać na wasz projekt, jeśli wy zechcielibyście przyjąć odemnie zapłatę. Dwadzieścia rubli mogę wydać, tém więcéj, że jak mówicie, na innych wydatkach będę mógł tam oszczędzić.

— Owszém; ale w rzeczy saméj, mam skrupuł... to mi jest niesłychanie przykrém...

— Inaczéj nie będzie można wcale, Andrzeju Piotrowiczu.

— A więc, jak chcecie; ale jakiż u was upór!

I na ten raz Insarow nic nie odpowiedział.

Naznaczono dzień, w którym miał się przenieść Insarow; oznajmiono o tém gospodarzowi, polecając mu zatrzymać dotychczasowe mieszkanie i oddając w opiekę pozostałe rzeczy.

Bersenjew powrócił, niezmiernie zadowolniony z powodzenia swego planu. Insarow, z niezwykłą w Rosji uprzejmością odprowadził go aż do drzwi, a gdy odszedł, zdjął i złożył starannie swój surdut, poczém rozpoczął porządkowanie papierów i książek.

VIII.

Wieczorem dnia tegoż siedziała Anna Wasilewna w saloniku, skupiając w sobie ducha do płaczu. W pokoju oprócz niéj był jéj mąż i niejaki Uwar Iwanowicz, daleki jakiś wuj Mikołaja Artemjewicza, dymisjonowany praporszczyk, w wieku lat sześćdziesięciu; tak otyły, że ledwie mógł się poruszać, z małemi, zaspanemi, żółtemi oczami i bezbarwnemi mięsistemi wargami wśród twarzy żółtéj a tłustéj. Od chwili opuszczenia służby żył on ciągle w Moskwie z procentów niewielkiego kapitału, jaki mu pozostawiła żona, córka kupca. Nic nie robił i zapewne nie myślał już nawet; to zaś, o czém myślał kiedykolwiek, zachowywał wyłącznie dla siebie. Raz tylko w całém swém życiu doznał pewnego wzruszenia i rozwinął swą działalność; wyczytał on w gazecie o nowym instrumencie znajdującym się na londyńskiéj wystawie, „kontrabombardonie“ i objawił życzenie sprowadzenia sobie tego instrumentu a nawet sam dowiadywał się pod jakim adresem i przez pośrednictwo jakiego kantoru należy odesłać pieniądze. Uwar Iwanowicz nosił szerokie palto tabaczkowego koloru i biały krawat, jadł często i dużo i zwykł był w wszelkich trudnych okolicznościach życia, to jest wtedy, gdy mu przyszło o czémś sąd swój wyrazić, kurczowo poruszać w powietrzu palcami prawéj ręki, przyczém dodawał z natężeniem: Trzebaby... jakkolwiekbądź... tak lub owak...

Uwar Iwanowicz siedział przy oknie w fotelu i oddychał ciężko. Mikołaj Artemjewicz przechodził się wielkiemi krokami po pokoju, ręce włożywszy w kieszenie; twarz jego wyrażała nieukontentowanie.

Stanął wreszcie i głową wstrząsnął.

— Tak, rozpoczął, w naszych czasach inaczéj wychowywano młodzież. Młodzi ludzie nie pozwalali sobie nigdy uchybiać starszym. Dziś doprawdy trzeba szeroko oczy otwierać na to co się dzieje. Może oni a nie ja mają słuszność; może. — Ależ i ja mam moje osobiste poglądy;

i mnie, gdym na świat przychodził, w ciemię nie bito. Cóż wy myślicie o tém, Uwar Iwanowicz?

Uwar Iwanowicz popatrzał na niego tylko i puścił w ruch swe palce.

— Heleny Mikołajewny na przykład, ciągnął Mikołaj Artemjewicz daléj, pojąć zupełnie nie mogę. Ja dla niéj jestem nie dość wysokim, jam jéj nie dorósł. Jéj serce tak jest wielkiém, że objęło sobą całą przyrodę, aż do najmniejszéj żaby nawet, słowem wszystko z wyjątkiem rodzonego ojca. Dodaj jeszcze do tego nerwy, uczoność i bujanie w eterach; my nic tego wszystkiego nie rozumiemy. Trudno... Ale, że pan Szubin... choć on jest uzdolnionym, niezwykłym artystą, przeciwko czemu nic powiedzieć nie mogę, że on zapomina o tém, co winien starszemu od siebie człowiekowi, człowiekowi, któremu, można to przecież powiedzieć, wiele ma do zawdzięczenia. . tego, przyznać muszę, nie mogę przypuścić dans mon gros bon sens. Ja z natury nie jestem zbyt wymagającym, zapewne, że nie; ale we wszystkiém musi być miara.

Anna Wasilewna zadzwoniła gwałtownie. Służący wszedł natychmiast.

— Czemu tu nie przychodzi Paweł Jakowlewicz, wołam go i wołam — a on się nie pokazuje!

Mikołaj Artemjewicz wzruszył ramionami.

— Czemuż każesz go wołać? Ja tego bynajmniéj nie żądam, nie życzę sobie wcale...

— Pytacie czemu? Mikołaju Artemjewiczu! On stał się przyczyną przykrości dla was; może nawet niekorzystnie wpłynął na waszą kurację. Ja się muszę z nim rozmówić. Chcę wiedzieć czém ściągnął gniew wasz na siebie.

— Mówię, że tego nie żądam. Pocóż więc chcecie... devant les domestiques...

Anna Wasilewna zaczerwieniła się lekko.

— Jesteście dla mnie niesprawiedliwym, Mikołaju Artemjewiczu. Ja nigdy przecież .. devant les domestiques Idź, Fedku, zawołaj mi zaraz Pawła Jakowlewicza.

Chłopiec oddalił się.

— Wszystko to niepotrzebne, mruknął Mikołaj Artemjewicz przez zęby i znów począł chodzić po pokoju. Tego przecież nie można było dopatrzeć w moich słowach.

— Przecież Paweł musi się usprawiedliwić przed wami.

— Ale... czyż ja potrzebuję jego usprawiedliwiań, na co mi się one zdadzą? I co to znaczy usprawiedliwienie się? To są frazesy, frazesy i nic więcéj.

— Po co? pytacie. Powinien dostać napomnienie.

— To udzielże mu go sama. Ciebie prędzéj on posłucha. Zresztą, ja nic nie mam przeciw niemu.

— Nie, Mikołaju Artemjewiczu, wy dziś nie macie właściwego sobie humoru od chwili, w któréj tu przybyliście. Może to rzecz chwilowego rozdrażnienia, ale zdaje mi się, że w ostatnich czasach zmizernieliście znacznie. Obawiam się, czy ta kuracja źle na was nie oddziaływa.

— Niemniéj potrzebuję jéj koniecznie, zauważył Mikołaj Artemjewicz; moja wątroba nie jest w normalnym stanie.

W téj chwili wszedł Szubin. Zdawał się zmęczony. Lekki, szyderczy uśmieszek okrążył mu usta.

— Wezwaliście mnie, Anno Wasilewno? powiedział.

— Tak, posłałam po ciebie. Ależ Pawle, proszę cię, to straszne! Bardzo jestem z ciebie niezadowolnioną. Jak mogłeś się zapomnieć względem Mikołaja Artemjewicza?

— Mikołaj Artemjewicz skarżył się na mnie przed wami? spytał Szubin i z tymże co pierwéj drwiącym uśmiechem spojrzał na Stachowa. Ten się odwrócił i oczy spuścił ku ziemi.

— Tak, on się skarżył na ciebie. Nie wiem czém zawiniłeś przeciw niemu, ale powinieneś go zaraz przeprosić; jego zdrowie jest teraz tak zrujnowane a potém, winniśmy, pókiśmy młodzi, szanować naszych dobroczyńców.

— O! logiko! pomyślał Szubin i zwrócił się do Stachowa. Gotów jestem was przeprosić, Mikołaju Artemjewiczu, rzekł z ukłonem lekkim lecz grzecznym, jeżeli tylko obraziłem was istotnie jakimkolwiekbądź sposobem.

— Ja... bynajmniéj, odparł Stachow zawsze jeszcze unikając wzroku Szubina. Chętnie wam bardzo przebaczam, boć wiecie przecież, que je ne suis pas difficile.

— O, to nie podlega żadnéj wątpliwości! rzekł Szubin. Pozwólcie mi jednak się zapytać, czy Annie Wasilewnie wiadomo w czém leży moje przewinienie.

— Nie, ja nic nie wiem, zauważyła Anna Wasilewna, i wyciągnęła ciekawie szyję.

— Ależ, mój Boże! zawołał niecierpliwie Mikołaj Artemjewicz: ileż ja razy prosiłem o to, błagałem, ileż razy mówiłem jak mi są wszystkie te wyjaśnienia, te sceny wstrętnemi, jak ich nienawidzę! Przybywa się do domu w myśli wypoczynku, — zawsze przecież mówimy o rodzinném kółku, intérieur, o stanowisku ojca rodziny, — a tu zaraz poczynają się sceny i nieprzyjemności. Ani chwili spokoju! Chce się czy nie trzeba jechać do klubu lub... lub gdziekolwiek indziéj. Człowiek jest przecież żyjącą istotą, ma przecież swoje potrzeby, a tu chcianoby...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Ukrainie. Tragedja w 5 aktach z prologiem i epilogiem. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego.

Rzecz się dzieje w latach sześćdziesiątym drugim i trzecim, nie mówiąc o krótkim prologu, o miejscu zdarzeń tytuł nas poucza, — jest to zatém dramat osnuty na tle politycznem, na tle świeżych jeszcze wypadków. Wzmianka ta już nam dwa ważne nasuwa pytania. Pytamy nasamprzód, czy utwór autora jest dzisiaj na czasie? — a od tego w znacznéj części powodzenie utworu zawisło. Odpowiedzieć musimy przecząco. Czasy nasze są czasami reakcji po wypadkach które autor opiewa, reakcji niepokojąco gwałtownéj. Zapał, jaki nas wówczas ogarniał, ulotnił się, wystygł zupełnie, opanował nas natomiast chłód grobowy, trzeźwość apatyczna. Patrjotyzm z wyobraźni przeniósł się dziś do rozumu. Ztąd wstręt nasz do wszystkiego co trąci wyobraźnią, do kontuszów, rogatywek i palonych butów, do wspomnień z obozowego ogniska. Dziś w imię patrjotyzmu zbieramy pieniądze, robimy karjery, — hasłem naszém: rozważnie, ostrożnie, żadnych demonstracji. Jest to ostateczność całkiém naturalna, którą czas i wypadki złagodzą. W obecnéj jednak chwili utwór bezimiennego, znanego już w piśmiennictwie autora, przykrym jest anachronizmem. Podnosi to właśnie do apoteozy, na co więcéj reakcyjni ze wstrętem, mniéj z żalem i boleścią spoglądają, podsuwa nam pod oczy obrazy, o których

zapomnieć pragniemy. Autor płynąć chce przeciw prądowi opinji publicznéj i dla tego u publiczności nie znajdzie współczucia.

Pytamy następnie, czyliż ostatnie wypadki nie są jeszcze zbyt świéżym dla utworów poetycznych materjałem? Mickiewicz, pisząc Dziady, toż samo co do poprzedniéj rewolucji postawił sobie pytanie. Jest w tém bezwątpienia wiele prawdy, że wypadki dziejowe dopiéro po upływie lat wielu, kiedy umarły już w życiu, odżyć mogą w pieśni. Względem zdarzeń, wśród których żyjemy, nie możemy być dostatecznie bezstronni, dajemy się zbyt łatwo własnym pociągnąć namiętnościom, znajdujemy się daléj w nazbyt bliskiém od nich oddaleniu, jeżeli nie w samym ich środku, nie możemy mieć na nie tak ważnego poglądu w perspektywie, któraby całe ich obejmowała zarysy. Są to znane regułki i formuły utoczone we warsztacie teorji, wygłaszane jako powszechne i nieomylne zasady. Prawdziwa zdolność jednakże nie pyta się o podobne prawidła, czy materjał spleśniały czy świéży, stworzyć zeń zdolna dzieło sztuki. Tylko dla niższorzędnych zdolności przedmioty zbyt świéże posiadają powyższe trudności. Do nich właśnie należy nasz autor. Żył on wśród opiewanych wypadków, echo ich do dziś jeszcze brzmi w jego duszy, a siły ducha u niego nie tyle, aby się mógł na bezstronném utrzymać stanowisku. Dla tego w dramacie przeważa subjektywizm autora; stosownie do zapatrywań i skłonności swoich, autor albo zbyt barwi, albo nadto czerni, zakrywając błędy tam, gdzie go widok ich drażni, nie mając wyrozumienia tam, gdzie nienawidzi. — Ztąd z prawdą historyczną u autora trzeba się mieć na baczności. Są tam wprawdzie przedstawione wszelkie warstwy miejscowego społeczeństwa w licznych odcieniach i stopniach. Są czerwoni i biali, młodzież zapalona i obywatelstwo chłodniejsze, jest arystokracja staropolska i arystokracja, któréj charakter, piętno narodowe na ministerjalnych starło się salonach, są Polki sercem i głową, są bezmyslne, bezduszne kokiety, jest chłop batiuszce oddany i chłop sprawie polskiéj przychylny. Wszystkie te postacie poruszają się, mówią podług swoich zasad, ale historyczna prawda tych postaci zaciemniona namiętnością autora; jedne rażą nas blaskiem słonecznym, drugie ciemnością piekielną.

Gorzéj stoją rzeczy z prawdą poetyczną, poemat i pod tym względem jest anachronizmem. Czy to w powieści czy w poezji dziś u nas przeważa realizm. — Doszliśmy do tych zdrowych przekonań, że piękno jest w rzeczywistości, pojęcia z czasów Zbójców Szyllera mało dziś liczą zwolenników. Autor, chociaż wiekiem nie młody, nie przeszedł Sturm- und Drangperjodu, jest au beau milieu zgasłych pojęć. Postacie jego wędrują po chmurach, deklamują w nieskończonych tyradach, są jakąś rozwałkowaną ideą, któréj autor nadał ludzkie nazwisko, ale niczém mniéj jak ludźmi. Ztąd w całym poemacie teatralna ckliwość, draperje, kostjumy, szczęk szabel i ognie bengalskie. Czytając, trzeba liczne poczynić przestanki, dać spoczynek zmęczonéj wyobraźni, — przy końcu zamykasz oczy i zatykasz uszy jak w piątym akcie baletu. Przeczytawszy, chwytasz mimowoli Dziadów część trzecią, szukasz w niéj orzeźwienia, spoczynku.

Zewnętrzność utworu znacznie wyższa od wewnętrznéj wartości. Jest pewna siła, pewien ogień młodzieńczy w języku, który czasem wybucha nad miarę, czasem znowu całkiém wystyga. Są miejsca, w których poeta czczym był widocznie i zimnym, w których zamiast pisać poezją, rymował. Ztąd od czasu do czasu płaskości i częstochowiady. W innych miejscach zapał poety podrasta i tworzy rzeczy cenniejsze. Do miejsc takich należą przed wszystkiemi wtrącone opowiadania epiczne. Autor miał przed sobą fakt pewien, którego trzymać się musiał, fantazjującą subjektywność autora hamuje i chłodzi sam przedmiot, — ztąd wyższość tych kawałków nad innemi.

J. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Budowa teatralnego gmachu w mieście naszym postąpiła znacznie i robi powierzchownie przyjemne wrażenie. Przypominamy Szan. dyrekcji współki akcyjnéj, iż zobowiązała się na ostatniém walném zebraniu akcjonarjuszy podawać do gazet sprawozdania z postępu swych czynności. Sprawozdanie takie byłoby dziś bardzo na czasie, z wielu stron bowiem dają się słyszeć głosy, iż gmach na zimę pokrytym nie będzie. Sądzimy, że należałoby wieściom tym zaprzeczyć jeżeli są fałszywe, lub téż, w przeciwnym razie, przypisać winę komu należy.

* * *

— **Józefa Kościelskiego** dramat „Władysław biały“ znajduje się, jak nas zapewniano, pod prasą, w drukarni Dr. Łebińskiego.

* * *

— Fotograf tutejszy p. **Morgenstern** zrobił odbitkę fotograficzną drzeworytu ostatniego numeru „Djabła“, przedstawiającego nabożeństwo w puństwie pruskiém. Fotografje te wraz z kliszem zabrane dziś zostały panu Morgensternowi z rozporządzenia prokuratora.

* * *

— „**Fizyka** zastosowana do potrzeb ogółu i szkół niższych“, opracowana podług najlepszych źródeł przez **E. P.**, wyszła właśnie nakładem wydawnictwa ksiąg ludowych ks. Fr. Bażyńskiego. Książka ta zasługuje na usilne polecenie.

* * *

— **Drukarnia Pillerów** we Lwowie obchodziła w tych dniach uroczyście setny rok swego istnienia. Założycielem téj drukarni za staraniem rządu austrjackiego był Niemiec, nie rozumiejący słowa po polsku. Wnuk jego, dzisiejszy właściciel p. Kornel Piller, jest duszą i sercem Polakiem.

* * *

— **Zdzisław** hr. **Łubieński** został dyrektorem dramatu i komedji w teatrze lwowskim. Dyrektorem opery tegoż featru jest hr. **Łoś**. Te nieustanne zmiany kierownictwa są bezwątpienia jedną z najważniejszych przyczyn, iż teatr lwowski rozwinąć się dotąd nie może.

* * *

— **Marja Nowakowska** (Łapińska) była artystka poznańskiéj sceny za dyrekcji p. Sarneckiego, doznaje w Warszawie jak najlepszego przyjęcia tak ze strony krytyki jak publiczności. Cieszy nas serdecznie, że warszawscy koledzy potwierdzają nasze zdanie, wbrew płytkim i niedojrzałym sądom lwowskich recenzentów, którzy nawet dla p. Antoniny Hoffmann i Feliksa Bendy podczas ich gościnnych występów nie znaleźli słowa uznania.

— **Kwestja kobiéca.** W Wiedniu poczęto w czasach ostatnich więcéj niśli gdzieindziéj zajmować się kwestją kobiécą, będącą dziś zresztą na porządku dziennym w całym niemal świecie. Kwestja ta odbiła się nawet o biuro ministra oświaty. Na zapytanie, czy kobiéty mogą być przyjmowane do uniwersytetu wiedeńskiego, minister oświecenia Stremayr odpowiedział, że według obowiązujących dziś przepisów zasadą jest instrukcji austrjackiéj, aby obie płcie kształciły się oddzielnie i zasady téj trzymać się należy; władze jednakże uniwersyteckie mogą urządzić osobne dla kobiét wykłady a nawet w przypadkach wyjątkowych, gdyby się zjawiły osoby płci żeńskiéj nadzwyczajnemi obdarzone zdolnościami, przypuszczać je wyjątkowo na wykłady przeznaczoue dla mężczyzn.

* * *

— **Kobiéty telegrafistki.** Na dworcu tutejszym, pisze „Gazeta Toruńska“, dwie kobiéty ustanowione są jako telegrafistki. W ogóle czynią się z strony generalnéj dyrekcji telegrafów w Berlinie zabiegi celem pozyskania większéj liczby kobiét do tego fachu. Chwilowo przyjąć mają 90 pomocnic, a nadto otwierają kobiétom aplikację do urzędów przy telegrafie. Aplikantki przyjmowane będą w wieku od lat 18 do 30, mają posiadać dobre wiadomości w geografji i znać język francuzki, oraz rozumieć cokolwiek po angielsku. Czas aplikacji czyli nauki trwać ma trzy miesiące, podczas których nie będą nic pobierały. Po czasie nauki nieświetne jak na wykształcone damy czekają je widoki: bo idzie najprzód sześciomiesięczny czas próby, podczas którego pobierać będą 15 tal. miesięcznie a po czasie próby mogą być ustanowione etatowo z roczną pensją 250 tal., która podnieść się może do 300 i 350 tal. Potrosze dziwimy się, że przy tych niebardzo korzystnych warunkach zgłosiło się już około 40 kobiét.

* * *

— P. **Rakiewiczowa** i p. **Swieszewski**, artyści teatru warszawskiego, z powodu stanu zdrowia opuszczają tamtefszą scenę; natomiast pp. Holzmann i Grubiński, artyści teatrów prowincjonalnych, przyjęci zostali do rzeczonego teatru.

* * *

— **Bibljoteka publiczna** w Warszawie, dziś uniwersytecką zwana, porządkuje się i, jak zapewniają, za rok otwartą będzie dla użytku publiczności. Urządzeniem dla niéj czytelni już teraz się zajmują.

* * *

— **Henryka Taine'a** „O inteligencji“ wyszedł w Warszawie nakładem Niwy zeszyt III.

* * *

— **P. B. Czerwiński** napisał 5 aktową tragedją p. t. „Atenion.“ Temat wzięty z powstania niewolników w Sycylji, z czasów rzymskich.

* * *

— **Na konkurs lwowski dla dzieci amatorskich teatrów** nadesłane zostały następujące utwory: Strachy, Bitwa pod Grochowem, Czerwoni i Biali. Komisję konkursową składają: pp. Bełza Władysław, Komorowski Bronisław, Kozłowski Władysław, Limanowski Bolesław i Tretiak Józef.

* * *

— W uniwersytecie warszawskim mianowani zostal **Teodor Siegel** docentem historji porównawczéj prawodawstw sławiańskich, a **Jakowlew** docentem literatury rosyjskiéj.

— **Złoty medal.** Oprócz dwóch najwyższych medali wystawowych, przyznanych p. Fajansowi przez przysięgłych wystawy wiedeńskiéj za prace fotograficzne i za prace litograficzne, p. Fajans otrzymał jeszcze osobną nagrodę od cesarza austrjackiego a mianowicie wielki medal złoty Litteris et artibus (dla nauk i sztuk). Jest to nagroda niezmiernie w Austrji ceniona a rząd tameczny podobno bardzo skąpo ją rozdaje i tylko za prace prawdziwie wyższéj zasługi w naukach lub sztukach. Reskrypt cesarza austrjackiego datowany z 1 września r. b. oświadcza: że cesarz nagrodę tę daje za „Wzory sztuki średniowiecznéj“, których egzemplarz p. Fajans złożył do prywatnéj bibljoteki cesarskiéj a mianowicie za „illustracje chromolitograficzne“, wykonane w zakładzie p. Fajansa i pod jego kiernnkiem.“ Mało który kraj może się pochlubić tak pięknêm, tak staranném wydawnictwem, jakie my mamy we „Wzorach Sztuki.“ Zasługa myśli wydawnictwa spada na Rastawieckiego i ś. p. Aleksandra Przeździeckiego, którym nasz kraj tyle zawdzięcza za odszukiwanie i przechowywanie naszych pamiątek. Zasługa to bardzo wielka. Potrzeba jednak było wydawcom znaleźć wykonawcę, któryby ich tak zrozumiał, z takiém zamiłowaniem i znajomością swéj sztuki rzecz przeprowadził, jak to zrobił p. Fajans.

* * *

— Wyszły z druku „Komedje Plauta“ w przekładzie ś. p. **Jana Wolframa**, b. profesora b. Szkoły Głównéj. Do edycji téj dodany bardzo podobny portret zmarłego tłumacza.

* * *

— „Dziejów filozofji praw i państwa“ przez Dr. **Wadysława Daisenberga** wyszedł zeszyt piąty.

* * *

— Dyrekcja teatru lwowskiego wpisała do repertoaru swego pozostały po ś. p. **Romanie Zmorskim** przekład tragedji serbskiego poety Macieja Bana p. t. „Merima czyli powstanie w Bośni.“

Ponieważ utwór ten wymaga nader starannego przygotowania tak pod względem artystycznym jak i pod względem wystawy, dla tego przedstawionym będzie dopiéro w ciągu przyszłego zimowego sezonu.

Tragedja „Merima“ pierwotnie była przeznaczoną dla teatru poznańskiego — i p. dyrektor Sarnecki miał ją przedstawić, zwłaszcza, że komitet doradczy za kwalifikującą się do przedstawienia uznał; brak czasu tylko do przygotowań celem odpowiedniéj wystawy stanął temu na przeszkodzie. Dyrekcja więc lwowska podejmuje to piękne dzieło i tam przy odpowiednich warunkach oraz rozbudzonym smaku publiczności się ukaże.

* * *

— Zakład naukowy Ossolińskich we Lwowie wyprawił p. **Edw. Pawłowicza**, konserwatora muzeum zakładu, w podróż archeologiczno-artystyczną po Galicji, w celu wzbogacenia muzeum w zabytki starożytności pojedynczo tu i owdzie rozrzucone.

Podobną misję odbywał z polecenia Krakowskiéj Akademji Nauk p. **A, H. Kirkor.**

Biuro anonsów i zleceń

J. K. Rakowski.

Poznań, Piekary Nr. 18.

Z dniem 8 października r. b. otwieram w Poznaniu na Piekarach pod Nr. 18 **biuro anonsów** w połączeniu **z biurem zleceń.**

Zakres méj czynności obejmować będą następujące działy:

A. Ekspedycja anonsów.

Zawiązawszy stosunki z domami handlowemi i podobnemi memu biuru instytucjami w kraju i za granicą a mianowicie: **w Warszawie, Wilnie, Kijowie, Petersburgu i Moskwie — w Krakowie i Lwowie — w Królewcu, Szczecinie, Gdańsku i Toruniu — w Berlinie, Wrocławiu, Dreznie, Wiedniu Paryżu i Londynie,** jestem przekonany, że dla przemysłu naszego otworzę nową drogę rozwoju i że tenże sumiennie i korzystnie popierać będę.

Przyjmuję anonse i reklamy w wszelkich językach do wszystkich gazet europejskich, a mianowicie: polskich, czeskich, rosyjskich, niemieckich, francuskich i angielskich po oryginalnych cenach. Tłumaczenia uskuteczniają się bezpłatnie.

Cennik inseratów i reklam wszelkch gazet, a mianowicie polskich, jest na żądanie w mojém biurze do przejrzenia.

Z dniem 1 października r. b. obejmuję prócz tego **część inseratową Tygodnika Wielkopolskiego w wyłączną dzierżawę. Część ta inseratowa znacznie powiększoną zostanie.** Przy téj sposobności zwracam tu uwagę wszystkich domów ekspedjujących ogłoszenia do gazet, że przy znaczniejszych zamówieniach w Tygodniku większy otrzymają rabat. Każdy zaś, komu zależy na stosunkach nietylko w kraju lecz także i za granicą, znajdzie do tego najlepszą sposobność, umieszczając ogłoszenia w Tygodniku Wielkopolskim; do saméj Galicji wysyła się liczny nakład tego pisma.

Przy ekspedycji anonsów urządzam także **agenturę przedpłaty gazet.**

B. Zlecenia.

Biuro moje w tym dziale ma odpowiedzieć **potrzebom czasu i ogólnemu postępowi.** Znając społeczeństwo nasze, postanowiłem czynności moje odpowiednio rozwinąć, aby pod każdym względem wszelkim wymaganiom odpowiedzieć. Pośrednicząc w danych mi zleceniach i mając rozgałęzione stosunki w dalekich nawet stronach, jestem pewny, że pośrednictwo moje zawsze pożądany odniesie skutek. Pośredniczyć zaś będę:

a) w sprzedaży, kupnie i dzierżawie dóbr, lasòw, domów etc.
b) w lokowaniu i wypożyczaniu kapitałów,
c) w kupnie i sprzedaży wszelkich produktów handlowych,
d) w umieszczaniu osób i
e) w asekuracjach.

Agencja moja sprzedaży, kupna i dzierżawy dóbr, folwarków, lasów, fabryk, domów rozciąga się nietylko na Wielkie Księstwo Poznańskie, lecz także i Galicję, Królestwo Polskie, Litwę, Rosję.

Lokowanie kapitałów na pewny procent jako też ułatwianie w zaciąganiu pożyczek wekslowych i hipotecznych na grunta właścicieli większych lub mniejszych posiadłości uskutecznia biuro z równą korzyścią dla stron obu, a rzetelnością starać się będzie zjednać sobie zaufanie coraz szerszéj klienteli.

Co do pośredniczenia w kupnie lub sprzedaży wszelkich produktów handlowych zakreśla sobie biuro wskazywanie źródeł, gdzie rzeczone produkta w najlepszym gatunku i po najrzetelniejszéj cenie są do nabycia, jako też wskazywanie miejsc, gdzie w równy sposób takowe po najwyższéj cenie spieniężać można.

Osoby, w umieszczaniu których biuro moje pośredniczy, są: guwernerowie, guwernantki, agronomi, technicy, fabrykanci, kupcy — w ogóle wszyscy, w których zakres działania wchodzi **nauka, sztuka, przemysł.** Osoby te — tylko odpowiednio wykształcone — udowodnić winny świadectwami, że znają swój fach dokładnie i nie zawiodą oczekiwań strony interesowanéj.

Zabezpieczenie siewów od gradobicia, nieruchomości i ruchomości od ognia, dalej zabezpieczenie na życie uskutecznia się w towarzystwach pewnych i dobrze renomowanych pod korzystnemi a przystępnemi dla każdego warunkami, o których w mojém biurze dokładnie poinformować się można.

Żywiąc to mocne przekonanie, że

Biuro anonsów i zleceń

godnie odpowie swemu zadaniu, oczekuję, ufny w szczere poparcie Szanownéj Publiczności, licznych zleceń, które w jak najkrótszym czasie ku ogólnemu zadowoleniu wykonane będą. Na wszelkie zgłoszenia i żądania informacji następuje odpowiedź odwrotną pocztą.

Poznan, dnia 29 września 1873.

Z uszanowaniem

Józef Rakowski.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.